

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.



Lwów, 29 lipca 1847.

Rok ósmy.

Wychodzi co drugi czwartek regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 złr. 15 kr.; całorocznie 10 złr. m. k.; na prowincji dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redukcji pod nrem 301.; we Lwowie.

M O D Y.

Paryż, dnia 15 lipca 1847.

Stroje damskie. Korunki stały się teraz nieodzownym dodatkiem do wszelkiego rodzaju strojów; żadna prawie suknia, żaden kapelusz, kanzu, wizytka lub mantyla obejść się prawie bez nich nie mogą; śliczny bo też wynalazek te korunki, nie bowiem tak jak one nie potrafi przyozdobić, świetnym uczynić, choćby najmniej zresztą strój wykwinny.

Bardzo ładnym i najnowszym strojem jest: Suknia z muszlinu indyjskiego, w kształcie tuniki, z szerokim haftem, wyobrażającym grzebienie kogucie; z marszczonym stanikiem, z krótkimi rękawami i z paskiem na sprzączkę zapiętym; redyngocik podobnie z haftowanego muszlinu, dwa razy wkoło szeroką liliową wstążką obszyty; biały lyczkowy kapelusz, gałązką lilij białych ubrany.

Drugim niemniej ładnym strojem jest: Suknia z liliowej kitajki, której spodnica obszyta trzema szerokimi falbanami, a każda falbana obszyta trzy razy wąziutką wystrzępioną szlarczką; stanik gładki, mocno wycięty; rękawy krótkie; czarna tiulowa chusteczka, wkoło korunkową szlarką obszyta; biały kitajkowy redyngocik, trzy razy wycinany i mocno nafałdowaną szlarką obszyty; biały tiulowy kapelusz białymi wstążkami ubrany.

Wreszcie suknia z surowego jedwabiu, z dwoma spodnicami, szydełkiem w duże desenie haftowana; pierwsza spodnica haftowana wkoło, druga otwarta i haftowana od dołu aż do pasa; stanik gładki, wysoko zachodzący, rękawy półdługie, muszlinowe mankietki; z popielatej kitajki płaszczyk na ramionach zszywany, trzema wycinanymi szlarkami obszyty; biała materialna kapotka ubrana białymi wstążkami i bukietem z zielonych liści.

Stroje męskie. Białe kapelusze są bardzo noszone tego lata, niepewna jest jednak jeszcze moda w tym względzie; lecz co do kształtu o wiele większe są niż lata zeszłego.

Fraki i surduty nie miewają już tak długich jak dawniej stanów; kamizelki robią o wiele krótsze, a spodnie nie tak szerokie.

Rycina przedstawia: Suknię liliowego koloru, z gładkim, mocno wyciętym stanikiem i z krótkimi rękawami; duża korunkowa berta, fontaziem z błękitnej wstążki spięta i błękitny materialny fartuszek; czepeczek z korunkowych szlerek, błękitnymi ubrany wstążkami: bransolety z pereł.

Druga rycina wyobraża suknię z materii grochowego koloru, z podwójną spodnicą; pierwsza długa do samej ziemi i gładka; druga otwarta z przodu o wiele od pierwszej krótsza, obszyta wkoło białą korunką; stanik gładki, wycięty i kończasty; berta podwójna, także korunką obszyta; rękawy prosto krajane półdługie, z korunkowymi wylogami; mankietki muszlinowe; przepaska bardzo szeroka z ponsowej wstążki około bioder okręcona.

SALON I ULICA.

Obrazek z życia przez Józefa Dzierzkowskiego.

(Dokończenie.)

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

Pogadanka ulicy z salonem.

I był znowu wieczór, jak w początku mojej powiastki, wieczór wiosniany, ale chłodny jeszcze. Wiatr wiosenny z przenikliwym deszczykiem przeciągał przez ulice stołeczne, z których przechodzący uciekali pomалу do domów swoich. Rzadki tylko

jaki pokazywał się przechodzień na znanej już nam ulicy, i zmykał przed zimnym przenikającym deszczem; dla czegoż tak nieruchomo oparty o kamienną ławkę jednej kamienicy stoi mężczyzna jakiś, i nieruchome wlepił oczy na przeciwny dom z zamazanym obrazem Matki boskiej. Na nic zdaje się nie zważać, ani na deszcz, który już doskonale zmoczył długi jego a stary surdut, ani nawet na biedną żebraczkę z trojgiem dzieci, która na zwykłym siedząc miejscu, ozwie się czasem niewyraźnym jękiem, czy modlitwy do boga, czy prośby do ludzi. Czasem tylko mimowolny dreszcz wstrząśnie widomie zziębnięte członki stojącego mężczyzny, po którego twarzy przy świetle lamp ulicznych błysnie od czasu do czasu kropla niejedna, gdyby łza. Ale nie łza to, o nie! jego oczy są suche, czerwone, gorączką spalone, to krople deszczu, które mu ściekają z dziurawego daszka czapki. Czasem przytłumionym jękiem żebraczki, lub jej biednych w pół gołych dzieci obudzony, porwie się machinalnie za suknie swoje, jakby w nich szukał grosza dla ubogiej rodziny. Nadaremnie! biedny Karosz, bo on to był, sam nie ma, i biedniejszy od żebraczki nawet, bo sam jeden stoi bez rodziny. Synowie jego rozsypali po świecie dalekim, a najstarszy i najmilszy w ciemnym więzieniu; przybrana córka, którą stary tak kochał, leży w domu w okropnej gorączce. A sumienie szepce mu w ucho, że nieszczęście to całe z własnej pochodzi winy. „Poco tailés wszystko przed synem i Bogunią” dzwoni mu ciągle w uchu i w sercu.

I wszystkie najsprzeczniejsze uczucia żalu i oburzenia, rozpacz i gniewu, litości nad sobą i swymi, i złości zawziętej na drugich, przechodzą po jego twarzy. A oczy patrzą nieruchomie na ledwie widzialne oblicze Matki boskiej, i nowe myśli, dziwne wspomnienia, jakby cienie przesuwają się po białych i żółtych licach starego szewca. I nowym ogniem łysnął wzrok jego, zwrócony na okna pierwszopiętrowe, których skąpemu dosyć oświeceniu przedrzeźniać się zdawało światło buchające z okien drugiego piętra. Silne, niezmienne, uparte postanowienie zadrgało mu na ustach złowrogiem skrzywieniem. Podniósł się Karosz i ruszył z miejsca.

A na pierwszym piętrze znajomego nam domu z obrazem Matki boskiej panowało milczenie, rzadko przerywane wesołymi jakimiś krzykami, które czasem z drugiego wybiegłszy piętra, przemknąwszy się przez schody, niewyraźnym głosem nikły po pustych salach pana Karlińskiego. Służba w przedpokoju zabawiła się wesoło, i jak zwykle po domach pańskich, naśladując pańskie narowy, grała w karty.

Pan Karliński zaś siedział samotny w swoim pokoju, którego przystrojenie mniej więcej mamy już; jedyną odmianę widzimy teraz w płonącym trzeszcząco i wesoło kominku i w otwartym stoliku zielonym, przed którym usiadł starzec ufrizowany, by się pocieszyć jego widokiem przynajmniej, kiedy zdarzenia dnia dzisiejszego mimowolną zrobiły przerwę w jego ulubionem codziennem zatrudnieniu, na tem zielonem polu szczęścia. Pan Karliński był w fatalnym humorze; po tragicznem bowiem zdarzeniu ranniejsem, odprosił gości spodziewanych dla zachowania przyzwoitości, którą w duszy przeklinał wszystkimi francuskimi i polskimi wykrzyknikami, a jak na złość przecucie, to przecucie, które gracza w karty czy w loterię nigdy nie odstępował, ciągle mu syrenim głosem śpiewało, że dziś byłby miał szczęście, tę *veine de bonheur*, o której wszystkie szulery wiecznie marzą. Zgarbiwszy się nad stołem zielonym, zagastył wzrokiem swoim śledził wszystkich tych marzeń karcianych, które po nim igrały w rozmaitych postaciach złota i banknotów. I by marzenia te jeszcze więcej urzeczywistnić, porwał za karty leżące koło niego, i zaczął je przewracać, jakby grał na prawdę z kilką osobami. Przecucie pokazało się prawdziwe, karty jak zaczarowane padały wszystkie na korzyść jego, aż się zaiskrzyły oczy starca. I z coraz większą namiętnością przewracał, mieszał, zbierał i rozdawał karty, uśmiechając się od czasu do czasu nietylko do tego swego szczególnego szczęścia, ile więcej jeszcze do zgrabności rąk swoich i do doskonałego wzroku jeszcze, którym śledząc porobione na kartach znaki, tak doskonale pomagał niewiernemu szczęściu swemu. Bo gracz prawdziwy, gracz doskonały, gracz postępowy, posiadający pojęcie szulerskie, nowych wynalazków karcianych zdolne, nie lubi tracić czasu. W samotności lubi ćwiczyć palce i oczy, nowe tworzyć kombinacje i doświadczenia, które potem będzie zastosowywał przy grze prawdziwej; jak szermierz, który stępioną szablą i szpadą próbuje zabójczej sztuki swojej, lub jak pływacz, który na materacu wymachuje pierwszej wszystkie potrzebne ruchy rąk i nóg, zanim pójdzie do wody próbować sił i zgrabności swojej.

W tem ozwał się szmer jakiś w głębi pokoju, jakby ktoś drapał czy stukał po ścianie. Stary gracz nie nie słyszał, on w tej chwili taką miał wolę sławną, niepodobną, zadziwiającą, jeniałą, że aż sam zdumiał nad sobą, i rozpromienioną twarz rzucił na zwierciadło, które odbijało właśnie tę gładką, obiciem jednostajnem pokrytą ścianę, przy której powtórzył się ten sam szmer cichy tem dziwniejszy,

że ta ściana żadnych drzwi niemająca, zdawała się już przytykać do sąsiedniej kamienicy. Lecz stary szuler nie nie słyszał; patrząc w zwierciadło, powtórzył wolę sławną, pomnika godną, a wykonał ją tak po mistrzowsku, że nie nie postrzegł w zwierciadle, prócz własnego uśmiechu tryumfального, wierne w niem odbitego.

I nagle uśmiech ten zastygł na twarzy bladniejącej okropnie. Oczy Karlińskiego rozwarły się szeroko i strasznie, a usta starca zadrgały wyrazem zgłupiałego osłupienia. Zdało mu się bowiem widzieć w zwierciadle, jakby raptem ściana przeciwniegiła roztwarzała się w jednym miejscu, i na tle jasnego obicia ściennego, zwiększała się pomału ciemna przerwa, po której mignęło się coś, jakby cień człowieka. Chciał krzyknąć, nie mógł; chciał wołać, nie miał siły. A cień się zwiększał, nabierał coraz więcej zarysów ciała ludzkiego, i oderwał się wreszcie od ściany świecącej znowu jednostajnym jasnym obiciem swoim. Karta w pół zgrabnej wolty małym palcem w powietrzu zawieszona, upadła na stół zielony, a za nią poleciały z turkotem i drugie. Ostatnie zrobiwszy natężenie, podniósł się Karliński z miękkiego fotelu, odwrócił się ku ścianie, i oparty o zielony stolik, drżący cały, z wyrazem przestachu i osłupienia patrzył na pomału zbliżającego się mężczyznę silnej postawy, którego wzrok zawzięty, nieruchomością oczarował osłupiałego gospodarza domu.

— Co to?... kto to?... wyszeptał wreszcie, a raczej wydzwonił przyprowadzonymi zębami swemi.

— Jak widzisz, nie zapomniałem ukrytych schodów i drzwi prowadzących do pokoju ojca naszego, odpowiedział stary szewc Karosz.

— Ojca! powtórzył Karliński głosem pomieszonym jeszcze, a wzrok jego uważny utkwiał w twarzy Karosza, który go ciągle mierzył spojrzeniem na poły smutnem, na poły zawziętem.

Karliński przychodził pomału do siebie, wzrok przestraszony zmieniał się w czychający, a usta rozciągały się do uśmiechu złośliwo szyderczego.

— Kto jesteś? wyrzekł przecie śmielszym nieco głosem; a jeżeli przypadek odkrył ci ten przechód ukryty, o którym sam zapomniałem, poco tu przychodzisz?...

— Nie wiesz kto jestem? nie udawaj!...

— Wkradasz się jak złodziej...

— Powiedz raczej brat złodzieja...

— Tego już nadto! będę przymuszony... odrzekł Karliński, nabierając coraz więcej śmiałości i przytomności umysłu; a ręką zaczął szukać poza sobą dzwonka.

— Zwołaj ludzi, całą służbę swoją! dzwoń! niech przychodzą, z ulicy nawet... jeżeli wolisz, bym przy świadkach powiedział to, com przyszedł tobie tylko powiedzieć, i odkrył im kto jestem... i jakie mam prawa przychodzić do ciebie...

— Bezwstydy! zawołał zapalczywie Karliński i zmierzył go pogardliwym wzrokiem... ja cię nie znam, nie wiem kto jesteś... a twoje suknie podarte i cała postawa złooczyńcy będą już dostateczne, by cię zamknęto... wychodź więc, jeżeli czas... przebaczam ci ten napad, choć cię nie znam... bo ty wiesz najlepiej, że cię nie znam... dodał z przyciskiem i szyderczym uśmiechem.

— A więc zadzwoni! ja będę przecie miał tyle czasu, nim mnie wezmą i zwiążą, że powiem kto jestem, i złożę jasne jak słońce dowody znajomości naszej.

— Dowody! zawołał Karliński pół szyderczym a pół przestraszonym głosem... dowody! jakież ty możesz mieć dowody!... chcesz mnie straszyć... ale ja ciebie nie znam... i czy mogę ja znać jakiegos tam ulicznego draba... choćby się mienił nie wiem kim i kłamał nie wiem co...

Karosz mileżał chwilę i zadumał się, a oczy zwrócił ku łóżku pana barona, i powoli, gdzieś z ich głębi ciemnej, jakby z głębi wspomnień dawnych, które wyrazem smutku z nich strzelily, wydobyła się, zebrała pełno i wymknęła na wierzch, łza bolesna...

— Tak! wyrzekł nareszcie; tu w tem samym miejscu stało inne łóżko dawniej, a na niem leżał starzec blady i coraz bledszy... bo śmierci zbliżała się godzina... i przed łóżkiem jego dwóch stało ludzi młodych jeszcze... Czy pamiętasz tę chwilę?

— Nie wiem co pleciesz... ale...

— Nie wiesz! nie pamiętasz! bo od tej dawnej chwili dzieli cię życie grzeszne... cała przepaść ciemna występków, krzywoprzysięstw i rozpusty... Nie pamiętasz tej chwili... a było przecie chwila śmierci twojego ojca... naszego ojca... Nadaremnie krzywisz się stary grzeszniku... jam ci przyszedł przypomnieć przeszłość, i przypomnę tak głośno i dobitnie, że się nawet zatwardiała pamięć twoja rozruszy mimowolnie. Więc nie pamiętasz słów, jakie w owej chwili powiedział nam ojciec nasz... nie pamiętasz zapewne, że z jękiem i płaczem biedny umierający starzec bił się w piersi i wyznawał winy swojego żywota. I prosił mnie, biednego młodzieńca, wychowanego jak sierotę, pod opieką starego sługi na wsi, aby mu przebaczyć, że był się mnie zaparł...

i powtarzał tobie i mnie głosem od śmiertelnej czkawki przerywanym.... to mój syn! to mój syn starszy!....

— Cały świat wie dobrze, przerwał pan Karliński głosem szydzącym i złośliwym, że mój ojciec miał syna tylko jednaka, a tym jedynakiem jestem ja.... i radzę ci obszarpańcze....

— Milcz! wrzasnął szewc stary i przyskoczył do Karlińskiego, a ściśniona pięść jego mignęła tak blisko popod nos baronowski, że ten cofając się wraz z stolikiem, ledwie zdołał umknąć z okropnie pobladłą i pomieszaną twarzą swoją.

— Prostaczysko!... mruknął tylko do siebie.... ulicznik!....

— Milcz salonowcze! krzyknął znowu Karosz; by ulicznik nie zapomniał na związki nas łączące, i nie przypomniał sobie wszystkich krzywd, i by raz ulicznik z tą silną pięścią w pracy zahartowaną, tą jedyną bronią swoją, którą opatrność obdarzyła w odwet za ukradzione mu wszelkie inne a wam oddane dary.... nie stanął przed salonowcem i nie spytał go o ten dawny, ogromny między nimi rachunek, i nie wyliczył mu całego szeregu krzywd najokropniejszych, i nie przypomniał mu, że w obliczu tej opatrności jest mu bratem.... bratem starszym, bo pożyteczniejszym ogółowi, bratem okradzionym, oszukanym, i nie odpowiedział mu pięścią na jego fałszywe przekręcenie praw boskich, pięścią na jego układne salonowe wymówki i wykręty, któremi wojuje.... i pięścią nie zemścił się za całe długie dzieje przeszłości swojej. Bo darmo wyrzekasz się mnie... świat nie wie o drugim synie niecnego ojca, świat nie zna praw moich, bo świat nie wie, że matka twoja i moja, którą ledwie znaleźmy, za słaba na przeciw trudnościom, jakimi jej rodzina przeszkadzała związkowi z ojcem naszym, za słaba naprzeciw własnej i kochanka miłości.... uległa.... i nim kapłan pobłogosławił ich związkowi, ja byłem już na świecie.... Wstyd tego świata wielkiego, w którym żyli, a który najbrudniejszego postępu, najokropniejszego przestępstwa nie potępia, byle brud i występki pozostały tajemnicą.... wstrzymał rodziców moich od przyznania mnie za syna.... odkładano od dnia do dnia oddanie mi sprawiedliwości.... a tymczasem biedna sierota, chowałem się zaniedbany w wiejskiej ustroni, bez oka ojcowskiego.... bez pieczęci matki.... I szczęście to moje, że stary sługa, któremu byłem powierzony, i który sam nic nie wiedział o prawach moich, był tam kiedyś szewcem.... a kochając mnie, tego jednego mnie nauczył, co sam biedak umiał.... I dobrze zrobił... i lepiej zrobił od rodzonoego ojca, który z niemalym kosztem czasu i

pieniędzy, wychował ciebie na takiego bez głowy i serca salonowca. Ja przynajmniej buty robić umiem.... a ty?... prawda, zapomniałem, że wchodząc, zastałem cię przy twoim i wszystkich tobie podobnych, najulubieńszym rzemiośle karcianem.... rzemiośle godnem was, którzy ściany złocicie, a posadzki woskujecie krzywdą cudzą i cudzemi łzami....

— Czy skończyłeś już bajkę swoją...

— I jam zapłakał przy łożku ojca mego i przebaczyłem mu serdecznie... bo mi żal było starca, którego sumienie srodze męczyło.... I mówił do mnie staruszek drżącym głosem, abym cię kochał i tobie przebaczył, i winy ojca nie karał na synie.... a ciebie błagał, byś mi był bratem i wynadgrodził sercem brata winę ojca....

— Ha! ha! ha! to zabawna awanturka, którąś mi przyszedł opowiadać około północy.... Coż się stało dalej, mój ty obszarpany bazarzu, poeto uliczny, powieściarzu z kopytem....

— I oddał tobie ojciec, mówił dalej szewc spokojnym głosem, jakby nadto był siebie pewny, iżby go miały urazić słowa pogardliwe Karlińskiego; wyznanie swoje i matki.... list do ciebie... i kodycył testamentu.

W tej chwili uwaga obu braci, barona i szewca, była tak zajęta, że nie słyszeli szmeru dość głośnego, który naszemu przecie nie uszedł powieściarskiemu uchu. Szmer ten nierówny, jakby od stąpania nierównego i niepewnego, rozchodził się to głośniej to ciszej po pokojach poprzedzających sypialnię pana barona. I coraz się zbliżał... lecz przy ostatniem słowie wymówionem przez Karosza, nagle u drzwi już wchodowych urwał się i ustał.... czasem tylko ozwało się.... na słowo powieściarskie powiadam.... złowrogie jakieś, jakby westchnienie, które zaprawdę, gdyby mówiący zasłyszeli, mając zbliżającą się północ na względzie, niemalym strachem przejęci, przypisałiby może grzesznej duszy, ciężko zapewne pokutującej. bo też westchnienia były ciężkie.... przeciągłe.... okropne. I że nie usłyszeli, to tylko przypisać można było śmiechowi gwałtownemu, spazmatycznemu, pełnemu dzikiej, triumfującej złośliwości, jaki wyleciał z piersi pana barona Karlińskiego.

— I coż te papiery? zapytał szydęro zacy baron.

— Śmiejesz się! bo przypominasz sobie, jak po śmierci naszego ojca, któremu przysięgałeś co tylko chciał, i przywiązanie dla mnie, i uznanie mnie, i braterski podział majątku.... aie skoro zgaś ojciec biedny... ty zniszczyłeś te papiery.... a mnie wygna-

Jeś pogardliwie... rzuciwszy kilka groszy... lichej jałmużny...

— A więc gdy nie ma dowodu... romans zostaje romansem, a za udzielenie mi jego mocno obowiązany jestem... a więc czybyś nie raczył, szanowny szewcze...

— Jeszcze za wcześnie, uzbrój się w cierpliwość... wszak to długiego potrzebuje czasu, zanim ci wyliczę szereg zbrodni i brudów twoich... które ci dziś wszystkie przed myśl przyprowadzić przyszedłem. Otoż mimo całego rozumu twego, całej przewrotności, lat trzydzieści nie wiedziałeś, że nad tobą wisi na jednym włosku kamień twej własnej zbrodni, który cię może zgnieść...

— Więc romans jeszcze nie ukończony! zagadł Karliński szyderczo, ale z wyrazem niepokoju, który pokrył przymuszonym śmiechem...

I w tej chwili znowu u drzwi wchodowych wnieśli się do ich rozmowy trzecie między nimi dwoma, jakieś szczególnie nierówne i ciężkie westchnienie...

— Ledwieś porwał papiery, pobiegłeś, opuściwszy łóżko śmiertelne ojca, by je zniszczyć... nie chciałeś patrzeć na okropne konwulsie, w których po oddaniu papierów bezprzytomnie...

— Skonał... zawołał baron.

— Cierpiał tylko okropnie, ale nie skonał jeszcze, bo przed śmiercią przyszedł do przytomności, i rzekł do mnie: „Boję się, synu mój biedny, o twoją przyszłość... bo... bo... za przewinienie moje, bóg najwyższy skarał mnie okropnie wadami syna, któremu przeniosł nad tamtego... on cię może zdradzić... mam tu te same dowody... moją pisane ręką i ten sam testament powtórzony... weź to... ale błagam cię synu, nie karz na bracie winy ojca, bądź mu miłosiernym... bądź zdrów...”

— I!... zawołał Karliński okropnie blade.

— I oddawszy mi papiery, skonał starzec biedny, okiem błogosławiąc syna, którego się tyle lat zapierał.

— Zabawna... bardzo zabawna bajeczka!

— A te papiery mam dotąd.

— Masz! zawołał stary baron drżąc z przestachu i złości, i przyskoczył do naszego Karosza z takim zapalem, jakby mu oczy chciał wydrzeć. I wstrzymał się nagle, a przybierając nazad uśmiech szyderczy, dodał po chwili: Doskonały z ciebie bazar, lepszy podobno niżeli majster; masz te papiery!... ha! ha! pocieszny jesteś! i przez trzydzieści lat chowałeś je, nie chcąc korzystać?

— Bo mi ostatnie słowa tkwiły w pamięci i zda-

wało mi się ciągle słyszyć, jak konającym głosem wołał: „Błagam cię synu, bądź mu miłosiernym!...” I miłosiernym byłem, i pracowałem i znośiłem nędkę... a co więcej, znośiłem cierpliwie pogardę, z jaką odrzucałeś wszystkie moje w razach gwałtownych udawania się. I sto razy przechodziłem tą ulicą i patrzałem na tę z dzieciństwa znaną mi dobrze Matkę boską, którąś kazał zamazać, mniemając, że tym sposobem zamażesz jedyne świadka... bo w owej chwili... konającemu ojcu przysięgłeś na tę bogarodnicę, wielą pamiątkami świętą dla naszej rodziny; i przecież nie przeklinałem ciebie, nie złorzeczyłem tobie, i byłem — ty widzisz, ojciec w niebie — byłem miłosierny, bom nie chciał brata hańbić po sądach.

Baron, którego twarz mimowolnie zdradzała wewnętrzny niepokój, roześmiał się głośno, przeciągle, szyderczo, choć przymuszenie.

I rzecz dziwna, ozwało się za drzwiami snąc echo śmiechu, równie przeciągle i szydercze, ale cichsze i szersze.

— I byłem głupi! sto razy głupi! krzyczał coraz głośniejsz nasz szewc biedny, rozpalający się coraz więcej, bo teraz złorzeczę i przeklinam i siebie i ciebie... i przychodzę spytać się ciebie o syna mego... oddaj mi syna!...

— Syna twego!...

— Syna, który siedzi w więzieniu...

— To syn twój strzelił do Alfreda! on zginie w więzieniu.

— Strzelił do łotra, który wszedł do mojego domu pod przybranym nazwiskiem, by wnieść zdradę i hańbę, by uwieść biedną dziewczynę, którą fałszywym oszukał ślubem.

— Coż mi tam do tego?... czemuś nie pilnował lepiej córki swojej, której zachciało się wyjść na panią... znamy my te wasze przedmiejskie dziewczyny cnotliwe!...

— Milcz, stary grzeszniku, jeżeli nie chcesz, bym do reszty zapomniał, że w tym pokoju umarł nasz ojciec... a wiesz ty kto jest ta biedna dziewczyna, którą zranił mój Jasio zamiast syna twego, którą twój syn zwiódł i shańbił... czy wiesz kto ona jest?...

— Córka pana szewca! odrzekł z urąganiem stary baron.

— Ona nie jest moją córką... ona jest córką Tekli!...

— Te... Tekli! zawołał z przerażeniem Karliński, i cofnął się w tył z wyrazem dziwnego wzruszenia na twarzy...

A przez krótką chwilę milczenia ozwał się znowu u drzwi dziwny jakiś głos westchnienia, czy przytłumionego śmiechu.

— W noc jesienną, burzliwą... schorzała, nędzna, głodem i nędzą zmęczona, przyszła do mnie ta biedna kobieta! Czy pamiętasz, ty stary grzeszniku, kto była ta biedna pocziwa Tekla? ... I ty nie drzysz, ty nie padniesz na ziemię zgrozą przejęty... czy cię piorun niebieski nie trafił? Nie pamiętasz już, zły synu i zły bracie, że była dziewczyna... sierota... krewna twojej matki rodzonej, która chowała się dzieckiem z nami, a bytło anioł dobroci i niewinności... i darmo chciałeś ją uwieść... kochała ciebie, ale ci nie uległa. Namiętnością wiedziony, wziąłeś z nią ślub w Rosji, twierdząc, że dla rozmaitych przyczyn nie możesz brać ślubu w kraju. Ona ci uwierzyła, uwierzyła słowom kochanka, słowom kobiety przez ciebie przedstawionej, kobiety nierządnej, która była twoją kochanką, i szczęśliwa w niewinnej swej myśli, cieszyła się, zostawszy żoną takiego łotra... bo nie wiedziała, że ty już miałeś żonę... i czy rozumiesz teraz, jak mocno pamiętałem o przyrzeczonem przezemnie ojcu naszemu miłosierdziu nad tobą, kiedy mogąc się zemścić nad tobą, mogąc cię oddać w ręce karzącej sprawiedliwości, milczałem... I bóg słusznie mnie ukarał za to grzeszne milczenie!

Strasznie był blady pan baron, drżał mimowolnie, ale ostatnie zbierając siły, zerwał się jeszcze, i wyrzekł głosem okropnie zmienionym:

— Nowa bajeczka pana majstra!...

— Prawda! prawda! stary grzeszniku! i przyszła chwila sądu i kary na ciebie!...

— Czy nie masz nowej jeszcze jakiej bajeczki podóręczu o małżeństwie w Rosji...

— Śmiej się ostatnim śmiechem swoim, jeżeli nie zapłaczesz... czy myślisz, że biedny szewc, gdy się o tem dowiedział, pozostał nieczynnym?... u nas, mój ty salonowy panie, inne uczucia na ulicy! Biedny szewc zastawił suknie, zastawił sprzęty, i piechoto poszedł do Rosji, i świadectwo ślubne przyniósł dla biednej Tekli, aby przecie jej córka miała dowody swego urodzenia... coż milczysz teraz?...

Baron spuścił oczy w dół; chciał mówić, ale tylko usta jego drgały konwulsyjnym drżeniem.

— I biedna Tekla błagała o miłosierdzie dla ciebie, i umarła przebacząc ci... a ja się przywiązałem do biednej Boguni... i głupi nie chciałem korzystać z tych dowodów.

I wrażeniem tej chwili porwany, dobył Karosz z zanadru paczkę papierów.

— Tu są te papiery! tu są te dowody!... milczysz teraz?...

Szelest papierów dobytých przez szewca, zdawał się barona przejmować elektrycznym drżeniem; zadrgał cały, i tylko jedno przelotne rzucił na brata spojrzenie, i znowu stał nieruchomy, oparty o stół zielony, z oczami w dół spuszczone. Zdawało się, że go już zupełnie siły opuściły, że złamana jego duma cała, że się już próżnej wyrzekł walki.

— Milczysz teraz!... i ja milczałem, i bóg mnie karał, a przecie ja myślałem, że dobrze robię, i bóg widzi, że Bogunię kochałem jak córkę własną, i dzieliłem się mieniem mojem, dzieliłem się chlebem, a tyś się nawet nie spytał o nią.

Biedny stary szewc coraz więcej był wzruszony, drżał, jakby go febra trzęsła, a łzy zaczęły mu padać z oczu jak groch wielkie; płakał stary jak dziecko, bo też rozpamiętując całą przeszłość, czuł ból w sercu okropny, ból niezem niezasłużony. I zamarzył biedak stary przez długą chwilę, a oczy zwrócił ku łóżku, w którym zdawało mu się widzieć i słyszeć konającego ojca.

Baron tymczasem podniósł oczy pomalą, w nich wrzało całe życie myśli, w nich była jeszcze chęć walki niezłamana, i z lekką kocim spojrzeniem spojrzał na szewca i za jego idąc spojrzeniami, zatrzymał się okiem na tem samym łóżku, w które patrzył szewc stary. Ale on nie za dawnymi tam patrzył pamiątkami. W jego oczach zadrżał wyraz okropny, złowrogi, wyraz wścieklej pożądliwości, bo te oczy patrzyły na parę krucic przy łóżku leżących, i ledwie je nie przyciągnął wzrokiem mocnym, w którym wszystkie, zda się, skupiły siły fizyczne i moralne starego barona. I palce mu się wyciągnęły mimowolnie, ruchem czołgającej gadziny zadrzały. On był bratobójcą już!... myślą i chęcią!...

— Milczysz teraz... zawołał znowu nasz Karosz, zmięczony znowu wzbudzonemi pamiątkami; I przyszedł twój syn...

— Przestań, przestań już... ozwał się baron głosem zmienionym; ani w nim znaku dawnej dumy i złości.

Zdziwiony Karosz spojrzał na niego i ledwie go poznał, tak był zmieniony; pokora i słodycz patrzyły z oczów zgrabnego salonowca. Na poly był już ulicznik zwalczony.

— Przestań bracie! ciągnął baron dalej głosem jeszcze miększym.

Stary Karosz zaplakał jeszcze mocniej i wyrzekł słodszy głosem:

— Widzisz... więc...

— Nie mów, bo to jest okropne; i porwał się baron za czoło i za oczy, lecz je przecie tyle nie zakrył, by szybkim spojrzeniem nie zmierzyć przestrzeni dzielącej go od łóżka. I była w oczach patrzących chwila wątpliwości, lecz mimowolny ruch szewca, który stanął w tej chwili na środku drogi prowadzącej do łóżka, śnać zdecydował barona. Westchnął bowiem jeszcze potulniej, ba nawet ręką trzymającą oczy, wycisnął jakąś niby łzę z nich, łzę podręczną, łzę Judaszową.

— Żałujesz teraz...

— Bracie, bądź mi miłosierny; wyrzekł znowu baron tak patetycznie, iżby się głosu tego nieboszczyk Talma był nie powstydział.

Śmiecie się z głupiej ulicy, drwijcie z śmiesznego szewca, który płakał jak bóbr, a płakał głośno gdyby student.

— Przebacz bracie, przemawiał baron coraz czulej; złamałeś dumę moją, upokorzyłeś mnie słusznie i otworzyłeś oczy!... bracie, to okropnie!...

A co słowo zbliżał się stary baron nieznacznie do rozczulonego szewca.

— Lecz nie ma chwili do stracenia... ratować potrzeba... ratować nasze dzieci! dodał z przyciskiem tragicznym.

— Ratować Jasia, zawołał Karosz; i oczy się biedakowi zaiskrzyły; bo Jaś, toć przecie skarb jego cały.

— Przebacz bracie! mówił dalej baron, a był już o dwa kroki od starego szewca; i uściśnij brata.

A dodając mimikę równie doskonale udaną do głosu i spojrzeń, wyciągnął baron obie suche ręce.

Szewc wierzył, bo przecie miarkował, że na jego miejscu byłby podobnie postąpił; więc i jemu mimowolnie roztwierały się ramiona do uścisku tak milego, tak dawno pożądanego, do uścisku braterskiego!

Uciekaj szewcze przed uściskiem salonowym, bo w nim czycha zdrada. Niech cię się dotknie tylko, a wnet jesteś oszukany i wyśmiany!

— Uściśnij mnie bracie! najmelodramatyczniejszym tonem wygłosił Karliński.

I wszystkie zebrawszy siły, ostatniem natężeniem stary osłabiony baron przyskoczył do szewca; jedną ręką w pięść ściśniętą uderzył w twarz starego Karosza, a drugą ręką porwał za papiery.

Krew buchła z nosa odurzonego szewca. A przed drzwiami rozległ się głośny przeciągły śmiech, i to już nie westchnienie ducha, ale śmiech szatana piekielnej wysokości.

I krótka była walka, mimo istotnej różnicy siły między barczystym szewcem a wychudłym baronem.

Znienacka schwycony szewc uległ Karlińskiemu, który z urąganiem i śmiechem zawołał:

— Głupi szewcze!...

Bo już papiery trzymał w ręku swoim i skokiem szybkim, skokiem natężonym, skokiem, któryby sam powinien uwiecznić pana Karlińskiego zgrabność, rzucił się w tył, jedną ręką pociągnął za dzwonek, aź zatętniło w całym domu, a drugą rękę z papierami wyciągnął ku płonącemu kominkowi.

Lecz w tej chwili szatan za drzwiami śmiejący się, pojawił się w postaci grubej, czerwonej, niepewnie na nogach trzymającej się pułkownikowej, bo ona to pod drzwiami całej rozmowy braci słuchała. I papiery co tylko wydarte szewcowi, tym samym sposobem znalazły się w rękach tej zacnej pani.

Nadbiegł kamerdyner, nadbiegła służba.

— Chodźcie, chodźcie! zawołał baron zapyrzony w ostatniej rozpacz, patrząc na wydarte sobie tak niespodziewanie papiery.

— Idźcie precz draby! my tu mamy z sobą pogadać! czy rozumiesz baronku?...

Baronek spuścił głowę przyzwyczajoną pod tyloletnie jarzmo. A służba przyzwyczajona za panem słuchać rozkazów samowładnej pułkownikowej odeszła, pomrukując śmiechem a żartem, rada, że choć tym sposobem może się zemścić za podległość swoją.

— W sam czas baronku przyszedłem... a już to w innej przyszedłem myśli, bo mi ten przeklęty kadet sprzyniewierzył się... łotr, którego wypieściłam, wychodowałam, na kadeta zafortragowałam, osadził mnie na koszu, szkoda go, bo ładny i tęgi chłopiec... ale chcę mu pokazać, że mnie łatwo o męża... chociaż chudy, łysy, kiepski... ale zawsze mąż... rozumiesz luby baronku?...

I zaśmiała się znowu szatańskim śmiechem.

— Teraz zupełnie jesteś w mojej mocy, już mnie teraz tumanić nie będziesz razem z tym łotrem wychrztą adwokatem... wszystko moje i ty mój... luby baronku...

Karliński milczał, bo teraz już go zupełnie siły opuściły.

Dziwne losu zrządzenie, stał między występkiem własnym a karą, występkiem, który mu wyszczerzał się z oczów szewca, z oczów brata, i karą nieodzowną przezuaczoną, uosobioną w tłustej pułkownikowej.

Karosz stał bezprzytomny prawie; na twarzy jego była krew i łzy... i to w pokoju ojca, z którego już teraz miał na zawsze odejść z krzywdą nigdy niepowetowaną, z bólem w sercu... w nędzę i biedę.

— A pan majster niech się wynosi swoim ko-

sztem z naszego domu! ozwała się tłusta dama rozkazującym tonem, bo mamy w przeciwnym razie służbę, która go wyprosi przez schody. I nie myśl baronku, żebym ja była dała ci ułedz w walce z bracijskiem. W razie potrzeby byłabym ci wpadła na pomoc, bo te papiery musieliśmy oczywiście mieć koniecznie.

I śmiała się pułkownikowa biorąc się pod boki, i szyderczo patrząc się to na jednego to na drugiego.

Rzućmy zasłonę na resztę tej sceny, która prędzej czy później, jak każdy zrozumie, skończyć się musiała, tak jak się skończyć inaczej nie mogła.

Nasi ulicznicy bohaterowie i tym razem jeszcze ulegli ludziom mającym za sobą zgrabny fałsz, czychając zdradę i popleczników w sługach swoich namiętności, które im pomagają, a razem mszczą się potem na nich, karząc ich.... To jest jedyny dowód wyższej sprawiedliwości, która nigdy nie milczy, ale swojemi idzie drogami....

Epilog.

Powieść skończyłem, zda mi się.... na coś więc ten epilog!... Dla ciekawości to czytelników trzeba koniecznie najdrobniejsze opisać szczegóły....

Co się stało z Bogunią? co się stało z Alfredem? co z Janem Karoszem, jęczącym w więzieniu? co z innymi?....

Słyszę zewsząd pytające głosy, domagające się u powieściarza, by nawet koniec artystyczny powieści miał swój powszedni i konieczny koniec.

By słowami żartobliwego Momusa mówiąc, Numa poszła koniecznie za Pompiliusza.

Lecz tu kilka może być końców.... Bo jużciż Bogunia mogła umrzeć w skutek rany zadanej?... i toby dla niej było może najlepiej....

Jan Karosz mógł zgnieć w więzieniu, a stary Karosz na śmieciu, coby było najpodobniejsze!...

Władysław mógł także zasłać w skutek tkliwości swych uczuć, i wyruszyć na kurację koziego mleka!...

Jeden tylko Alfred, co musiał koniecznie ożenić się z Kamillą, boć przecie te dwie zacne osoby dla siebie tylko stworzone.

Ale natomiast mógł Jan Karosz wyjść z więzienia, coby przecie nie przeszkadzało temu, iż mógł wraz z ojcem żyć i umierać w nędzy.

Ale czyli też Władysław nie mógłby się ożenić z Bogunią, która wyzdrowiała. To podobne! krzykną niektórzy kpiąco i żartobliwie, do takiego głuپیego i excentrycznego poety, by się ożenił z biedną

opuszczoną i shańbioną szewcówną.... ale na słowo powieściarza... bardzo cnotliwą.

I kto wie, czy tak się nie stało, bo kiedyś będąc na cmentarzu, widziałem bladą i ładną kobietę z dwojgiem dzieci i z mężczyzną czule na nią patrzącym.... Modlili się oboje!.... do tego boga, który wszystko widzi i wszystkie łzy aniołów i śmiechy szatanów rachuje w swej sprawiedliwości, by wymierzyć w swoim czasie nagrodę i karę. Kobieta była kulawa.... a mężczyzna miał natchnienie w oku. A modlili się nad dwoma grobami bliźniętami. A kobieta pieściła oboje dzieci zarówno i mężczyzna nie robił między nimi różnicy.

Z tych więc końców raczcie sobie łaskawi czytelnicy wybrać koniec, jaki wam się lepiej podoba. Ja zaś ani za tem, ani za tamtem zakończeniem nie powiem ani słowa, bo wyznam wam, że powieść moja o salonie i ulicy nieskończona, równie jak i treść jej jest dotąd bez końca. Jeszcze więc spodziewam się pisać w nowej powieści i o biednym krawcu wiarusie, i o innych bohaterach powieści tej. Do zobaczenia więc z moimi czytelnikami.

ZIMOWYM ZMIROKIEM.

Samotny siedzę, wieczorny zmrok pada,
Tam wichor miecie tumanami śniegu,
Z nim czarnych ptaków łanie się gromada,
I kracząc szuka po drzewach noclegu.

Gwarem czeladzi gada do mnie ściana;
Tam oni ogień obsiedli weseli,
I jakaś piosnka rzewna, zapłakana,
Jak druga nitka ciągnie się z kądzieli.

Krzyk czarnych ptaków i piosnkę dziewczęcą
Łomotem swoim splątała szaruga,
Sprzeczne te głosy wicherzą się i męca
Razem z mą myślą, ach! a noc tak długa!

Przymykam oczy i na me oblicze
Milczący kładę obie wyschłe dłonie,
I mego serca uderzenia liczę,
O jakże zwolna ono bije w łonie!

Więc mnie się zdaje, że ja już spokojny
Usnąłem ciszą pod mogiłą ciemną,
Podczas gdy ludzkich namiętności wojny
Wirem się tocząc szaleją nademną.

Do czarnoksięskiej bani świat podobny,
Szatanów krzykiem rozdętej ogromnie,
Jeden głos tylko ma dla mnie żałobny,
Jeden głos tylko co żali się o mnie.

Kornel Ujejski.

Listy z Wrocławia.

Zadziwi to ciebie p. redaktorze dziennika mój, gdy odbierzesz artykuł z Wrocławia, z tego kursokupieckiego, wełno-giellowego miasta, do którego Paryż (a dziennik twój paryski) stoi w podobnym stosunku jak gaza z blondynu do płótna, poezja do prozy, albo różowy bilecik do prostego wexla. Przytrafić się może, iż do giełdy w to szanowne grono p. p. bankierów i meklerów wstąpi człowiek, który w pularesie swoim notuje, nie kurs papierów 4 procentowych, ale rok budowy gmachu; rzeźba na suficie interesuje go więcej niżeli stan akcji kolei żelaznych; w korespondencji twoim masz mości redaktorze takiego człowieka, przyjmij ten list; chociaż datowany z Wrocławia, nie zawiera w sobie ani słowa o wełnie.

Wrocław jest stolicą Ślązka, więc o Ślązku krótko pomówię.

Wiadomo z kronik (z tych piastunek dziejów naszych) że Ślązko należało do rodziny, której domem ojczystym było Gniezno. W XIII już wieku widzimy tam całą rzeszę udzielnych panów, istny archipelag księstw; któż podola jednym tchem przeliczyć je wszystkie! któż nie wie o tych księciach panujących na Toście, Świdnicy i Głogowie, Zaganie, Brzegu, Opolu, Lignicy, i Raciborzu; Cieszynie, i Opawie. Że wiele innych nie wymienię.*) Xiążę panujący na Wrocławiu mógł być uważanym za słońce w tym systemie planetarnym śląskim.

Xiążęta te i xiążątka**) byli braćmi, krewnymi sobie po jednym praojcu po Piaście, były to odrostki od starego piastowego drzewa, od rodzinnego pnia; odgięte przechyliły się ku czeskiej stronie, do czeskiego berła przyłgnęły, przyrosły; germanizm zaokolizowany w każdym oczku, jał wypuszczać swoje gałązki, ale i z samorodnego drzewa idzie do dzisiaj jeszcze bujniej list swojski. Z tej strony Odry zieleni się po wsiach stara polszczyzna. Za Odrą inna mowa, ubiór i zwyczaje inne, tam już lity lud germański.

Miasto Wrocław mogło być założone w połowie X. wieku, za czasów księcia Mieczysława, albo co pewniej, dawna w tem miejscu osada rozbudowała się szerzej, obwarowała się parkanem. Niektórzy dochodzą nazwy Wrocławia od słów wrót i sława, co ma znaczyć że w tem miejscu był przewóz (wrót)

*) N. p. Nissa, Oleśnica, Ziębice, Jawór, Wołów; jeszcze za czasów Macieja Korwina było 18 udzielnych xiążąt, którzy hołd mu składali.

**) Wielkie zachodzi podobieństwo między niemi a królami Homera.

na rzece Odrze. Inny znowu kronikarz twierdzi, jakoby Wrocław miał być onem miastem *Budargis*, o którym Ptolomeus napomyka; niech wierzy, kto chce.

Na pytanie: miasto Wrocław w X wieku jakie było? odpowiedź nie trudna. Wdłuż rzeki na błoniach wśród dębów a może i dzikich gruszek kilkadziesiąt rozrzuconych chatek.

Za Mieczysława stoi pierwszy kościół drewniany; biskup przenosi swoją stolicę z Smogorzewa do Wrocławia; już tam mieszka i p. starosta który z ramienia księcia rządzi i sądzi.*)

Czasu pamiętnego w Polsce napadu Tatarów, w wieku XII. widzimy już w Wrocławiu gród obwarowany mocno, który tatarską nawałę, co wtedy spaliła miasto, odpiera, a skarby i kosztowne sprzęty Wrocławian do zamku zniesione, ocala.**)

Po cofnięciu się Tatarów przegorzały Wrocław, buduje się na nowo. Owoczesny x. Henryk III. pan górny Ślązka, opasuje teraz całe już miasto wałami i murami, nadaje mieszczanom różne przywileje; w obrębie mili od miasta nie pozwala obcemu kupcy, rzemieślniczy i piwo warzyć, ściągając wiele przemysłnych Niemców do Wrocławia, dla których prawo i sądy Magdeburskie zaprowadzone. Miasto się zaludnia i bogaci. Już z niemieckiej pali cegły, muruje sobie ratusz, pięć domów, wznosi kościoły dla siebie i dla wnuków. Sprzyja wzrostowi miasta położenie korzystne, w pośrodku dróg handlowych napływ rzemieślnika i kupca, stała nareście siedziba księcia a z nim rojący się tłum urzędników sług i popleczników.***)

W XIV wieku Wrocław już i bogatem jest miastem, pożycza summy szlachcie i xiążętom ubogim albo rozrzutnym, bierze w zastawie miasta, nawet

*) Często wspominany w kronikach starosta *Magnus*, herbu Zareba, za podniesiony rokosz w sprawie Zbigniewa traci gubernatorstwo; było to w epoce panowania Władysława Hermana.

**) Bitwa pod Lignicą, głośna porażka chrześcijan i śmiercią x. Henryka przypadła 18. kwietnia 1241 r.

W pamiętniku miasta Lignicy Tibeziusza spisanym znajduje się opis tej bitwy, do którego dodany plan batalii, zdjęty ze starego bardzo obrazu.

**) O składzie dworu owoczesnych xiążąt Śląskich, można mieć wiadomość z przywilejów gdzie urzędnicy jako świadkowie bywają wypisani. Dwór księcia składał się mniej więcej, z kancelarza, prynciarza, kapelana, cześników kilku i komorników; należał do niego sokolnik, skarbnik, podczasz, chorąży, podkomorzy (*claviger*), marszałek, wojewoda i wielu innych. Zdaje się że xiążęta acz ubodzy chcieli w tem naśladować dwory cesarzów i królów w Europie.

powiaty całe; od króla czeskiego Jana xięstwo opawskie dostaje w zakładzie pożyczonych 8.000 grzywnien; już w tej epoce nie tylko pożyczają, ale i kupuje wsie i miasta na zupełną własność. W tym czasie (jak świadczy kropika) wrocławskich tkaczy 900 składa x. Henrykowi w podarunku beczkę pieniędzy, prosząc go o opiekę w pewnej potrzebie. Już wieloraki zbytek wkrada się do miasta. Zważając na stan, zamożność mieszkańców, x. Henryk VI. nie widzi potrzeby go ograniczać; w przywileju w r. 1327 wydanym, wyraża iż temi słowy, *dass man nicht allein zu Breslau essen und trinken möge, dass man lebe, sondern dass man voll essen und wohl trinken solle und möge.**)

Onemi czasy miasta stały pod sądownictwem wójta miejskiego, ale powoli wykupywały się z tej opieki, i wsie niektóre to czyniły. Jeden xiążę słazki, odstąpił tego prawa za danego mu konia (*pro equo spadone*). Wrocław wyższą zapewną ceną wykupił się od swojego wójta dziedzicznego i pozyskał prawo jurysdykcii *cum omni et pleno jure et dominio*; niekiedy albowiem ograniczano to prawo; dodano restrykcyę np. *Jedoch behält der Erbvogt in der besagten die Gerichte über Kopf, Hand und Nase.*

Ale Wrocław nie tylko miał pieniądze, miał także i wojsko, nie tylko kupczył, ale i bojował. Przykładów tej wojennej ochoty przytoczę kilka.

Roku 1456 Mahomet II obległ Belgrad. Na wezwanie Władysława, króla Czech i Węgier, 800 zbrojnych wyrusza z Wrocławia, dochodzą aż do Wiednia. Ale Huniades zbił Turków, bez pomocy krzyżaków wrocławskich; ci powrócili do domu, bez szwanku.

Roku 1467, Jerzy Podiebrad, obrany król czeski domaga się holdu od Wrocławian. Wrocław holdu nie składa protektorowi hussytów, przeciwnie wypowiada wojnę czeskiemu królowi. Krzystof Skop prowadzi piechotę, (miała już rusznicę) konnicą dowodzi Jan Slabisdorf. Zrazu dobrze się wiedzie ale fortuna zmienna; Victorin syn Jerzego odbiera zdobyte miasta, łowi dużo niewolników, zdobywa i armatę, która strzelała dwucetnarowemi kamieniami a kosztowała miasto Wrocław 2.000 florenów.

Wojna ta z królem czeskim trwała nie długo, ale pamiątka po niej została na czole niejednego Wrocławjana. Obyczajem swoim hussyci dostawszy

*) Była to excepcja i ważna zrobiona dla miasta Wrocławia, z prawa zbytkowego (*ex lege sumptuaria*): w której między innemi stało, że ślubującemu żonę z wianem 100 grzywnien nie wolno na weselu mieć więcej jak 50 potraw, 5 czesników, 5 podczasznych i 5 muzykantów, z rana potraw 6, na wieczór tylko 5.

Schlesisches Landrecht.

niewolnika wypalali mu na twarzy krzyż. Wzamian za krzyże dostawali od Wrocławian kielichy. Proszę kronikom owoczesnym dać wiarę.

W okolicach Wrocławia rozstrzygała się także wojna naszego Kazimierza Jagiellończyka z Maciejem Korwinem; w tej jednak sprawie miasto nie brało udziału.

Pisze nasz Bielski o spotkaniu się dwóch królów: Polacy nakładli Kazimierzowi takie mnóstwo futer ażeby nie mógł się zgiąć do pokłonu Maciejowi. Król Maciej znowu włożył na głowę wieniec, ażeby czapką nie przyszło się pokłonić przed królem polskim. Czasu 30letniej wojny (która mieczem i ogniem spustoszyła całe Niemcy) Wrocław neutralnością swoją ocalał; spalili mu Szwedzi tylko parę kościołów, a między temi, najbogatszy śt. krzyża.

Ale w roku 1663, kiedy Turcy zagony swoje rozpuszczali aż po Holumuniec, i w roku 1683, kiedy oblegali Wiedeń, Wrocław posłał swojego żołnierza na obronę cesarza. Wtenczas Wrocław razem z całym Słazkiem dostarczał żywności polskiemu wojsku, idącemu pod Sobieskim na odsiecz oblężonego Wiednia.

Nie mówię o 7mioletniej wojnie; któż nie wie, że Słazk, którego środkowym punktem Wrocław, właśnie był polem, na którym łamały się dwie siły — pruskie i austriackie — przez całe długie pasmo tej kampanii.

Stan zamożny Wrocławia, o którym wyżej była mowa, jeszcze wyżej się podnosi od epoki, kiedy xiążęta słazcy, czy z dobrej woli, czy z musu, podają się w małństwo czeskiemu berlu.

W tym stosunku, jak upada ich władza, podnosi się powaga magistratów miejskich, królowie radzi mieć miasta po swojej stronie, nie szczędzą im swoich łask i przywilejów. Miasta zaczynają należyć do składu stanów krajowych; w XIV wieku stoją przy królu nie tylko *Vasali fideles, milites*, ale i *cives et civitatenses*.

Wrocław od dawna miasto składowe dostaje od Karola IV przywilej na wolny od cła przewóz towarów indyjskich przez Wiedeń i Pragę.

Staje się środkowym punktem handlu dla północnej Europy. Sprowadzone z Wenecji korzenie*) z Flandrii i Niemiec bławat i sukno, małemi wózkami rozwozi do Polski, Węgier, Moskwy albo Wołoszczyzny, z kąd zakupuje skóry, wosk, łój, bydło, konie i inne surowe tych krajów produkta.

*) Między obiektami handlu owego czasu niepospolitą gra rolę pieprz. Konsumcja pieprzu w Europie a szczególnie w Polsce była do niepojęcia wielka.

Jednem słowem Wrocław w XV wieku okazuje się być miastem, które zamożnością, handlem i powagą, mogło emulować z bogatymi miastami Hansy.*)

(Dokończenie nastąpi.)

Kronika literacka.

Nakładem K. Jabłońskiego wychodzą we Lwowie: Okolice Galicji zdejnowane z natury i litografowane przez Macieja Stęczyńskiego, wraz z dokładnym obecnym i historycznym opisem miejsc. Dotąd wyszło zeszytów pięć, w każdym zeszycie po ośm rycin. Do rozszerzenia znajomości kraju naszego i historycznych jego pamiątek, podobne wydania przyczyniają się wiele. Pan Jabłoński zamyśla doprowadzić to przedsięwzięcie do kilkudziesięciu zeszytów, wydając co sześć tygodni jeden zeszyt. Opisy są dokładne, lecz należałoby i podania miejscowe wszędzie zbierać, jak przy niektórych miejscach uczyniono. Litografie, osobiście w późniejszych zeszytach są coraz lepsze. Oby pan Jabłoński nie zraził się do dalszego wydawania, jak to już z dwoma przedsięwzięciami tego rodzaju się stało.

Powieść: Salon i ulica, która z obecnym numerem w dzienniku się kończy, wyszła w osobnym wydaniu. Pan J. Dobrzański, który w dzienniku mój narzekał na zbytnią drogosc polskich książek i ztąd małe ich upowszechnienie, nabył i zajął się wydaniem tej powieści, mając na celu, aby dziełko jak najmniej kosztowało. Istotnie dość spore dziełko (350 st.) kosztuje w więgarni nowej pana Stengla, przy ulicy krakowskiej, 24 kr. m. k. na papierze welinowym, a na papierze zwykłym 20 kr. m. k. Będzieto najtańsza książka polska. Pan J. Dobrzański nabywa i inne historyczne i beletryczne dzieła od autorów, i zamierza dalej dostarczać podobnie tanich, a nawet i tańszych druków. Rzecz ta może być niemalej wagi w więgarstwie polskim, gdyż dotąd dla wysokich cen należało do zbytlowych wydaćków kupować książki polskie.

Do niedawnego jeszcze czasu ciążył na niektórych wsiach w Ślązku, podatek pieprzowy (zwany *Pfeffern Zins*) który płacony bywał pieprzem w naturze. W prawie Ślązkiem *Slesisches Landrecht*, stoi wyznaczona kara na kramarzy, którzyby mieszały do pieprzu kammyki albo wykę. Dodamy jeszcze że dom handlowy Fuggera w Augsburgu posiadał w XV wieku przywilej cesarski, do wyłącznego handlu pieprzem w całych Niemczech, temu przywilejowi zawdzięczał ogromny jaki zrobił majątek.

*) I jarmarki tutejsze musiały być znaczne i powabne; król Kazimierz Jagiellończyk zakazał polakom wchodzić na jarmarki wrocławskie, bojąc się żeby się tam nie niemczyli.

Kronika muzyczna.

Zapowiedziana opera »Mina, czyli potajemne małżeństwo« należała do nielicznych owych pojawień, któremi interesować zdaje się nasza publiczność. Przyczyną tego powszechnego zajęcia była wiadomość rozgłoszona częścią przez gazetę lwowską, częścią jako tradycja krążąca między całą publicznością, że wyżwspomnioną operę napisał jeden z naszych ziomeków pod przybranem nazwiskiem »Thomas.« Były także wieści, że tenże sam nasz ziomek ułożył już był kilkakrotnie muzykę do nadestanych z Paryża libretów, które opery zostały tamże przyjęte z zadowoleniem, w dowód czego wspominają o dosyć znacznem honorarium, które miał otrzymać kompozytor z Paryża za »Mina, czyli potajemne małżeństwo.«

Ciekawa zawsze popisu rodzinnych swoich talentów licznie zebrala się publiczność; przy pierwszych taktach orkiestry ustały rozmowy, a cisza niewymuszona owładnęła całą zaludnioną przestrzeń, nawet i łoże pierwszego piętra uciszyły się prędzej, jakto zwykle bywa. Kompozytor nasz nie miał więc przyczyny użalać się na zgromadzenie, że nie było usposobione do wrażeń wyższego talentu, przeciwnie, było można wszędzie ujrzeć jak największą uwagę; lecz oklaski, które sypały się grzmotem po każdej pięknej arii, tyczyły się więcej artystek, niżeli naszego ziomeka, którego własnością byćby powinny. Zkądże to pochodzi, że większą nagrodę odebrał ten co oddał, niż ten co utworzył?

Oto ziomek nasz zaprosił nas na ucztę, przyrządzoną z wielkim gustem i przepychem; nie zapomniano o najmniejszej drobnostce, któraby należała tak do harmonii przyrządu, jak i zmysłu podniebienia, ale wszystko to było ze złota i srebra, tylko do podziwiania, a zaproszeni odeszli głodni i spragnieni.... i niejeden przejęty głębszem uczuciem przypomniał sobie mimowolnie ten groźny wyrzut: »Pragnąłem. a wyście mnie nie napoiili!...«

Scheakespeare pisząc »Caesara« nazwał go nie raz w swoim rozczuleniu »Mylord«; Scheakespeare, mówię, uczynił to w chwili, w której najmniej powinien myśleć, że jest Anglikiem; a ziomek nasz, oddając muzyką text francuski, tak się przejął duchem opery francuskiej, tak umiał wszystko z siebie oddalić, coby mu przypomnielo ziemię i niebo rodzinne, pod których wpływem czerpał pierwsze swoje natchnienia, a z którychto natchnień mogłaby z czasem wyrosnąć prawdziwa jeniuszu potęga.... ziomek nasz oczarował nas ogromem studiów plodów

zagranicznych, a wyrzekłszy się uczuć, któreby z nami miał wspólne, poszedł walczyć o laury z zapasnikami brzegów Sawony. O ile mu się udała ta walka, o tem nie wiedziała publiczność opery wczorajszej; podziwiała wyborną instrumentacją, śmiała, często oryginalne kuplety, czarowną zgodność kwintetów i sextetów, podziwiała zawilose i misterność arii pojedynczych, słowem patrzyła na wszystko okiem takim (jeżeli przy oku i ucha domyśleć się można), jakim patrzymy na to, co jest nie nasze, co jest cudze, pokazane tylko za opłatą przesyłki jako rzadkość nieznaną sięgająca wcale na naszej ziemi. My zaś jesteśmy innego zdania. Każdy kraj ma swoje indywidualne życie, które bez nadwężenia kosmopolizmu sztuki, może się z nią w ten sposób zespolic jako żywioł rodziwy, że zrzuciwszy z siebie cechę prowincjonalizmu, podoła wyrównać utworom zagranicznym, a nawet je przewyższyć, jeżeli nie jest dziełem reminiscencji lub wynikłością reguł ścisło technicznych, ale dziełem ducha natchnionego prawdą i wyższymi celami. Że u nas jest to, co nas zająć może, wiemy z tego, że jest, co nas boli i cieszy, i co stanowi cel i podstawę naszych dążeń. U każdego z nas są struny, w które uderzy pewne słowo i dźwięk, a wtedyto wołamy w zachwyceniu »w to nam graj« ale kompozytor nie grał nam w to, ale grał tak, jak na obranem sobie stanowisku, stosując się do wyobrażeń i charakterów zupełnie nam obcych grać powinien.

Że obecny porządek rzeczy znamionuje epokę muzyki; że potrzeba muzyki wyższej coraz bardziej u nas się wzmaga, muzyki, któraby przy spotęgowanych naszych uczuciach zagrała harmonią ogółu i plastyką ducha wyraziła to, co nas obchodzi; że ta muzyka ma być wynikłością tego, co nas otacza, jeżeli nam zrozumianą być zechce, o tem nie myślę tutaj rozprawiać i przypominam tylko fakta pojedyncze, które zastały nas usposobionych do wrażeń wyższych, a dostawszy takowe, zaprzyjaźniamy się z niemi z taką poufałością, jakbyśmy już od dawna byli z niemi znajomi. Nie było przypadek, ani uprzedzenie, ani moda, ani zwyczaj, ale uczucie głębsze i prawdziwe, tajemnej wymagające powierniczki, w którejby duszy mogło się przejrzeć niespostrzeżone, i we własnym swoim odbiciu dostąpić błogiego ukojenia.

Czy kompozytor muzyki »Mina, czylii potajemne zaślubiny« pojął i uczuł to całą potęgą pojęć i wra-

żeń ogółu? — nie wiem; wiem tylko, że przy pisaniu swego dzieła z wrodzonym nam lekceważeniem tego, co jest nasze, zajęty był wyłącznie kosmopolizmem sztuki, i więcej, jakby mu przynależało, z chrześcijańskiej może cnoty, myślał o biednym obłąkanym swoim nauczycielu, u którego w bezprzytomnej jego obecnej słabości, mógł z łatwością pożywić to i owdzie kilka myśli i zwrotów, właściwych temu wielkiemu mistrzowi opery dzisiejszej. Rozumiemy tutaj nieszczęśliwego Donizetiego.

Jan Zachariasiewicz.

Rozmaitość.

Podczas uczonego obiadu czwartkowego u Stanisława Augusta wspomnieliśmy o nowo na przedmieściu wybudowanym kościele z fundacji mieszczańskiej warszawskiego. Chwalił także architekturę tego kościoła. Stanisław August, lubiący uchodzić za opiekuna sztuk i nauk, proponował, aby całe towarzystwo po obiedzie udało się obejrzeć nową budowę. Istotnie w karetach dworskich wszyscy ruszyli za królem na zamierzoną wzięć. Na kościółku był napis:

Ten dom boży

Postawił Ambroży.

Królowi podobała się mocno prostota tego napisu, daleka od wszelkiej próżności, gdyż nawet nazwiska po ojcu fundator nie położył. Uradowany, w najlepszym humorze wszedł Stanisław August do wnętrza kościoła, gdzie go równie gustowne wewnętrzne urządzenie uderzyło. Gdy wychodził z kościoła, jeszcze raz obejrzał się na napis. Lecz jakże zmienił się humor jego, gdy pod godłem: »Ten dom boży, postawił Ambroży,« przeczytał wielkimi literami czerwoną lubryką wypisaną poniżej na ścianie:

Nie tak jak ty błaznie,

Coś postawił łaźnie.

Stanisław August właśnie wtedy ukończył był budowę Łazienek.

Łatwo było odgadnąć autora tak złośliwej przyśmiewki. Wszystkich prawie oczy z przerażeniem zwróciły się ku Węgierskiemu, słyszącemu z złości, śmiałości i dowcipu. Król zesmutniał nagle, a towarzystwo uczonych w ponurem milczeniu odprowadziło go napowrót. Powiadają, iż to była główna przyczyna, dla której Węgierski musiał wyjechać z Polski za granicę. Nie wrócił już więcej do kraju; umarł w Marsylii.